

„Kandyd” czyli cudowna zabawa w teatr

DLA każdego teatromana wizyta w teatrze to cudowna wędrówka w krainę ułudy, dla widza emigracyjnego to dodatkowo emocjonalne i patriotyczne podkreślenie przynależności narodowej. Kiedyś było to także wyzwanie rzucone tym, którzy twierdzili, że emigracji nie ma. Z czasem teatr działający poza krajem stracił swój blask. Zaczęli odchodzić wielcy artyści, reżyserzy ci co grali w Buzulu, Persji, Ankonie. Poczęła się też wykruszać widownia. Nowi przybysze z Polski na teatr emigracyjny patrzyli innym okiem — krytycznie, bez sentymentu. Kiedy powstał Teatr Nowy, złożony z aktorów przybyłych do Wielkiej Brytanii w latach 70 i 80, stosunek do teatru jakby się trochę zmienił. Na scenie oglądało się znajomych. Nie znaczy to, że wszystkie przedstawienia były sukcesami i artystycznymi i kasowymi. Nowym przybyszom potrzeba było czasu na wejście w nowe środowisko.

Teatr Nowy A.D. 1989 to test, na ile mieszkający tu Polacy, są zainteresowani kulturą polską. Każdy spektakl Teatru Nowego, to profesjonalnie przygotowane widowisko, artystycznie satysfakcjonujące. O tym, że teatr mierzy wysoko, mogła nawet największego malkontenta przekonać najnowsza premiera. Przedstawienie przygotował jeden z najciekawszych reżyserów polskich, Maciej Wojtyszko. Emigracyjnej widowni postanowił on zaprezentować słynną opowieść filozoficzną sprzed dwustuleci — „Kandyda”, Woltera. Ta opowieść zainspirowana trzęsieniem ziemi w Lizbonie w 1756 r. była jednocześnie literacką polemiką ze słynnym myślicielem niemieckim, Leibnizem, który twierdził, że „nasz świat jest najlepszym ze wszystkich światów”.

Kandyd, wygnaniec z własnego kraju wędrując po świecie, przeżywa najbardziej nieprawdopodobne przygody, które z kolei mają potwierdzić że nasz świat jest jednak zły i niedoskonały, bowiem nic na nim nie zależy od nas, a wszystko ze ślepego przypadku. Oczywiście, co spotyka Kandyda dzieje się bez żadnej logiki. Kandyd, Kakambo, Panglos, Ku-

Anna Wołek

negunda przenoszą się w czasie i w miejscu. W spektaklu, ów ciągły ruch nie jest zaznaczony żadnymi zmianami scenograficznymi, bowiem dekoracji nie ma. Rekwizyty, jak chustka, czarne szale, kwiaty i wspaniałe kostiumy (Tatiana Kwiatkowska) to jedyna ingerencja reżysera ukierunkowująca naszą wyobraźnię.

„Kandyd” to niezwykle dynamicz-

świecny jako Żyd i Baron. Docieplnie uchwycone i utrzymane w barokowej konwencji przesytu postaci stworzył Wojciech Piekarski. Jacek Jezierzański był doskonałym inkwizytorem, a jeszcze lepszym Marcinem „najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi”. Daniel Woźniak był szczególnie zabawny jako gubernator, „uwielbiający kobiety”. Kandyda zagrał Janusz Szydłowski, który z roli zupełnie nie pasującej do jego *emploi*



„Kandyd” — scena zbiorowa

ne widowisko, pełne barokowych ozdobników, przerysowań. Nic jednak nie jest w złym guście, czy zbyt natrętne. Gest, ruch, muzyka mają takie samo znaczenie jak słowo. Świetne piosenki (autorstwa Macieja Wojtyszki) uzupełniają „To co nie w pełni podkreślone”, współczesniają. Wspaniała scena w państwie Eldorado, to sugestywna i przerażająco prawdziwa wizja „komunistycznego ustroju”, gdzie wszyscy mają . . . tyle samo. Zuniformizowanym świecie, gdzie szaleńczy dyktator decyduje „być albo nie być” każdego z nich ironicznie śpiewają o swym przywiązaniu do kraju. Dla każdego turysty ich państwo to wspaniała przygoda, bo . . . na szczęście przyjezdni opuszczają Eldorado, wróć do siebie. Ta scena jest chyba jedną z najlepszych w całym spektaklu.

Autorsko jest to również przedstawienie niezwykle wyrównane. Należałoby wymienić wszystkie nazwiska. Na szczególną uwagę zasługuje Grzegorz Stachurski,

potrafił wydobyć wszystkie jej blaski i niuanse. Jego bohater jest jakby z boku wydarzeń, jest ich narratorem. To z pewnością najlepsza rola Szydłowskiego na emigracyjnej scenie. Najbarwniejsze i najzabawniejsze postaci wyczarował jednak Tadeusz Chudecki. Jego żywiołowość i niezwykle dynamiczne zmiany nastrojów, postaci, sytuacji, nie pozwalają widzowi nawet na chwilę odprężenia. Zofia Walkiewicz, Dorota Kwiatkowska, Anna Kaźmierczak i Dorota Zięciowska stworzyły wyjątkowo zgrany kwartet, a mimo to każda z nich potrafiła wykreować odrębną, indywidualną postać.

O „Kandydzie” można by jeszcze długo, że świetny pomysł z rozgrywaniem niektórych scen na widowni, że doskonała muzyka (Jerzy Derfel), niesamowita sprawność w błyskawicznych zmianach kostiumu, w scenach zbiorowych (szczególnie na zamku Barona i bitwa) itd., itd.

Najlepiej jednak samemu się o tym wszystkim przekonać i wybrać się do POSK-u — póki jeszcze grają! Dawno nie widziałam w teatrze — angielski włączając — tak sprawnego, zabawnego i wciągającego spektaklu.